

BARBARA
KOSMOWSKA

NIEBIESKI
AUTOBUS

LITERATURA 
PIĘTRO WYŻEJ

Barbara Kosmowska
Niebieski autobus

© by Barbara Kosmowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura Piętro Wyżej

ISBN 978-83-7672-594-9

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zapachy

Moje dzieciństwo składało się z dźwięków, smaków, zapachów i z czterech pór roku, z których najlepiej zapamiętałam wiosnę. To wraz z nią nadciągały ponętne wonie wolności przerywanej matczynymi krzykami z okna.

„Do dooooo!!!” – wrzeszczało w powietrze jednocześnie kilka matek, a do otwartych okien kamienic wpadały z majowym ciepłem pierwsze wieczorne chrapaszczce. Jestem pewna, że to właśnie chrapaszczce uwalniały sygnał *Dziennika Telewizyjnego*, który niepostrzeżenie opuszczał duszne pokoje i spływał z wysoka dalekim echem. Wraz z nim dolatywał do granicy podwórkowej ciemności brzęk naczyń rozstawianych do kolacji. Wylewały się, jak mleko ze spodka, niebieskoszare refleksy szklanych ekranów.

Światła pochodziły z innej rzeczywistości aniżeli odgłosy. Odgłosy były oswojone jak leniwe psy drzemiące na wycieraczkach. A światła wędrowały w sobie tylko znaną stronę, niczym polujące koty na łowiskach pierwszego zmierzchu.

Najważniejszym światłem, a nawet światłością, był ów mdły blask pochodzący z tajemniczych kineskopów. Mam wrażenie, że to on rozświetlał ponure mroki schyłku lat sześćdziesiątych

i sprawił, że nie trzeba było nosić w bańkach mleka z pobliskiego sklepiku. Wraz z kineskopami nadeszły dumne armie butelek zakończonych kapslami z kolorowych sreberek.

Ktoś może twierdzić, że bańki na mleko nie mają nic wspólnego z telewizorem. Ja jednak uważam, że mają. Że i bańki, i telewizory wyznaczają w rozwoju ludzkości kierunek jakichś podskórnych dążeń i tęsknot za zmianą. To taka wewnętrzna rzeka pragnień, która na pewno popłynęłaby wartkim nurtem domysłów w rozważaniach ontologicznych, gdyby jakiś współczesny filozof zechciał zająć się tymi tęsknotami i dogłębnie je zbadać. Nie jestem tylko pewna, czy sprawa baniek dotyczy w równym stopniu całego świata, co Polski. W tamtych czasach traktowałam problem intuicyjnie, gdyż teoria bytu rzeczy ważnych i mniej ważnych rosła razem ze mną. Wówczas była więc jeszcze całkiem małą teorią. W szarym fartuszką z kieszonką na kasztany.

Telewizory zwyciężyły w rewolucji o względy. Tę rewolucję nazwałabym blaszaną. Na cześć przegranych baniek. Dzieci też były przegrane, bo stały się jakby również mniej ważne od telewizorów. Dorosli wysyłali nas w dalszym ciągu po mleko, tyle że w butelkach, a sami, zatopieni w blasku i jasności magicznych szybek, otwierali szeroko oczy na wielkie udawanie.

Nie istnieliśmy. Rzeczywistość za pancerną szybą należała wyłącznie do pełnoletnich właścicieli telewizorów. Była chroniona przed naszym dotykiem i wzrokiem. Pokazywana najczęściej w nagrodę. Odbierana za karę.

Telewizory pachniały. Zwłaszcza te pierwsze. Sąsiedzkim potem, który w ciasnocie pokoju stołowego przygłuszał pozostałe wonie. Do dziś widzę obcych ludzi, jak tłoczą się przed naszym nowiusieńkim aladynem, nieufnie i tępo wgapieni w zygzaki na brzegach ekranu. Wodzą wzrokiem po ustach ładnej pani tłumaczącej cierpliwie nieco przestraszonym widzem, co teraz zobaczą.

Zwykle na środku pokoju siedział tatuś. Nawet ten połamany fotel z przybrudzonym flauszem nabierał dziwnego dostojności w sztucznym świetle telewizyjnej poświaty. Tata też wyglądał inaczej. Jakoś tak świątecznie. Może dlatego, że był podłączony do ładnej pani długim białym kablem zakończonym gruszką. Prototypem pilota bardzo podobnego do latawca na uwięzi. Na gruszce były różne pokrętła, a na nich spoczywała ciężka ojcowska ręka. Tata, niczym Bóg, mógł sprawić, że ładna pani milkła albo ryczała miłym głosem na cały dom. Jaśniała i ciemniała. Znikała, aby pod wpływem tatusiowego kciuka powrócić do swej pracy zdumiewania sąsiadów.

Goście przyjmowali te eksperymenty z wielką pokorą, a na twarzy ojca znajdowałam radość, którą zrozumiałam dopiero po latach. Nigdy przedtem i potem nie miał tak widocznego wpływu na czyjeś losy, a w szczególności na losy ładnych pań. W żadnej innej sytuacji nie ośmieliłby się im przerwać, a cóż dopiero wyprosić je z naszego stołowego! Zmieść z powierzchni ekranu, wyrzucić, aby w następnym momencie łaskawym kciukiem przywołać je, ustrojone w białe kołnierzyki, i pozwolić im mówić to, co miały do powiedzenia.

Siedząc nonszalancko w przybrudzonym fotelu i manipulując gruszką, tata osiągał zaskakujące efekty, z likwidacją ładnych pań włącznie. Nigdy wcześniej, a także potem, nie zdarzyła mu się taka manifestacja władzy. I nie miało dla tatusia żadnego znaczenia, że roztacza ją nad zaledwie kilkunastocalowym światem, ponieważ akurat ten fragment był pilnie śledzony przez zdumione oczy sąsiadów. To był najmniejszy świat, jaki widziałam, bo nawet ten oglądany z naszych śmietników, z gołębnika i z szopy na drewno wydawał się dużo większy i nie do opanowania za pomocą małej plastikowej gruszki.

Budowniczym tego świata wcale nie był tatuś. Pamiętam, że karton z ładną panią przyniósł z kolegami wuj Roman. I był to

jeden z nielicznych prezentów, z którym nie rozstawaliśmy się przez prawie piętnaście lat.

Dla nas, dzieci, podczas pierwszych seansów brakowało miejsca na tapczanie i na rachitycznych krzesłach. Nie było go też w wąskim przejściu do kuchni. Musieliśmy zadowolić się kucaniem przy ścianie z dykty, skąd niewiele się widziało, ale mocno czuło ten cały dobrosąsiedzki pot, buchający z rozgrzanych ciał.

Poza wonią sąsiadów pamiętam zapach wypranej i sztywnej od krochmalu kołdry, pod którą trudno było znaleźć przytulność. Na szczęście kołdry pachniały rzadko. Zwykle na święta, a sporadycznie w jakieś soboty. Mówię tu o naszych kołdrach, bo mama nie miała serca do wiecznego wyżymania tych trzeszczących starościami płócien.

Ja w dzieciństwie pachniałam samogonem. Jestem tego pewna. Ilekroć teraz wkładam nos do lampki z koniakiem, widzę nasz pokój stołowy i lekką mgielkę oparów unoszących się nad stołem. Bardziej smakuje mi zapach płynący z otwartej butelki niż jej zawartość.

Sprawcą mojego zapachu z dzieciństwa była cała rodzina, a w szczególności wuj Roman. Ojciec mawiał, że wuj Roman zawsze był wszystkiemu winien. Podobnie musieli uważać milicjanci z naszego posterunku, bo przychodzili do nas przynajmniej dwa razy w miesiącu i pytali: „No, gdzie jest ten ptaszek?”. Wuj Roman parskał w takich razach śmiechem, wychodząc na korytarz. „Jak wam pokażę ptaszka, to się obaj przekręcicie z zazdrości” – mawiał. I sięgał po płaszcz. A potem wuj w ich eskorcie opuszczał mieszkanie i nie było go przez tydzień.

– Na długo teraz? – pytała ojca matka z zatroskaną twarzą.

– E! Do wyjaśnienia. A potem wróci.

– Szkoda – kwitowała mama.

Zawsze się zastanawiałam, co ją bardziej martwi: perspektywa powrotu wuja czy jego niechlubna wizyta w areszcie. Potem

matka otwierała okna, aby nasze mieszkanie opuściły alkoholowe mgły mojego dzieciństwa. Ojciec w tym czasie demontował chemiczną fabryczkę i starannie mył długie szklane rurki. Wokół tych rurek w zwyczajne dni gromadzili się wszyscy dorośli: mama, tata, oczywiście wuj Roman i kilku sąsiadów. Wtedy jeszcze nie mieliśmy własnego telewizora i rurki jakby go zastępowały. Głowy dorosłych co chwila nachylały się nad pracującym szkłem, które nam, dzieciom, ofiarowywało ten niezapomniany, gryzący w oczy zapach, wtapiający się w nas tak mocno, że szare mydło, którym nacieraliśmy się nad emaliowaną miednicą, nie mogło sobie z nim poradzić.

Wuj Roman miał własny pokój. Nie wolno było tam wchodzić pod żadnym pretekstem. Tak mówiła mama. Zastanawiało mnie wtedy zawsze, co znaczy słowo „pretekst”. Było to jedno z pierwszych urzędowych słów, jakie poznałam. Do pokoju wuja pukał nawet tata, zanim chwycił za zwisającą klamkę. „Dalej!” – słyszeliśmy zza drzwi chrapliwy głos wuja i tata zniknął w tym zagraconym, pełnym poniewierających się butelek pomieszczeniu.

Siostra, brat i ja spaliśmy w pokoju rodziców, oddzieleni od nich cienką dyktą, o którą nie można się było opierać. Każda taka próba kończyła się zawaleniem tej niby-ściany. Czasami zapominaliśmy o jej chybotliwości i razem z dyktą lądowaliśmy na kancie kredensu. Na szczęście kredens był pusty. Mama specjalnie nie stawiała w nim szkła, ponieważ wytłukliśmy już kiedyś jej najcenniejszy serwis, który wuj Roman przywiózł z jednej ze swoich wypraw.

Pamiętam ten serwis. Był w srebrne różyczki z delikatnymi zielonymi listkami. Kiedy wuj go rozpakował, zrozumiałam, że nareszcie jesteśmy bogaci.

– Skąd wujek miał tyle pieniędzy? – zapytałam mamę, dotykając paluszkami delikatnej porcelany.

– Noo, znalazł – odpowiedziała takim tonem, jakby była zmartwiona tym wujka szczęściem.

– I dał nam te talerze na zawsze? – upewniałam się dalej, szczęśliwa, że głupiej Rytce będę mogła powiedzieć o naszym bogactwie.

– Tak, ale nikomu o tym nie mów.

Zawsze było tak samo. Gdy stawaliśmy się bogaci, mama dbała o to, abyśmy zachowali skromność i pokorę wobec tej odmiany losu. „Innym może być przykro, że mamy takie ładne rzeczy” – mówiła, zmuszając nas do milczenia.

Prezenty od wuja Romana, zwłaszcza te najbardziej niepokojące mamę, nigdy nie zagrzewały u nas miejsca. Poza serwisem, który stłukliśmy sami, inne precjoza znikwały po cichu tak, jak się pojawiały. Nawet nie zdążyliśmy czasami nacieszyć oczu jakimś skarbem, a już go w mieszkaniu nie było.

– Dlaczego nie jemy tymi nowymi widelcami? – zastanawiałam się, przechowując w pamięci jeden z darów wuja: lśniące posrebrzane sztucce.

– Musiałam je sprzedać, abyście w ogóle mieli co jeść – odpowiadała nerwowo mama i wkładała nam do rąk blaszane łyżki.

Moja siostra nie zносиła naszego domu. Uparła się, że będzie mieszkać w internacie, w sąsiednim mieście, i szybko spakowała tekturową walizkę, zabierając tylko dwie swoje bluzki: białą i niebieską.

W dniu jej wyjazdu wuj Roman wrócił przesiąknięty zapachem samogonu i położył na stole nowiutką stuzłotówkę. Tata bardzo się ucieszył, mama też. Oboje wyciągnęli po nią ręce, ale wuj zaprotestował. „Łapy won! – krzyknął. – To są pieniądze na edukację”. I dał wyprasowany banknot mojej siostrze. Wzięła go bez słowa i żegnając się tylko ze mną, poszła kupić bilet do swojego nowego miasta i nowego życia.

Patrzyliśmy na wuja z podziwem. Nie pierwszy raz wymówił słowo, które zdradzało jego wszechstronną wiedzę. Potem „edukacja” kojarzyła mi się z innymi ulubionymi zwrotami wuja, należącymi do eleganckiego świata, nie takiego jak ten nasz, z dykty. „Edukacja”, „koncesja”, „odroczenie”, „ekwiwalent”...

Taaak. To były piękne słowa! Każde z nich mogło ozdobić usta mojej pani od polskiego. Ale pani nie była wujem i nie znała takich trudnych wyrazów. Pani od polskiego, podobnie jak wuj, zasługuje na odrębną historię.

Pani Elwira

Pani od polskiego miała na imię Elwira i często nie było jej w szkole, bo wciąż jeszcze sama się uczyła. Bardzo ją z bratem polubiliśmy za piękne jasne włosy i niebieską kokardę, którą je powstrzymywała przed opadaniem na oczy. Nie umieliśmy jednak zdobyć wzajemności w swych młodzieńczych uczuciach. Czytaliśmy całymi nocami, bo pani powiedziała, że jak ktoś chce znać jej przedmiot, musi dużo czytać. Sama nie miała czasu na czytanie, gdyż, jak wspomniałam, wciąż się uczyła i chyba nie szło jej najlepiej.

Pani Elwira wydawała się nam wtedy najmądrzejszą nauczycielką w szkole. Może dlatego, że chętnie i często mówiła słowo „przypuśćmy” i wówczas cały jej szkolny wywód nabierał naukowego tonu. Już na początku lekcji pytała: „Jaki to dzisiaj mamy dzień?”. A następnie udzielała sobie odpowiedzi: „Przypuśćmy, że piątek”. Albo: „Kto nam opowie o *Naszej szkapie*? Przypuśćmy, że uczyni to Pietkiewiczówna... A jeśli nie uczyni, otrzyma ocenę całkowicie niedostateczną”.

Zawsze byłam ciekawa, jaka ocena jest niecałkowicie niedostateczna. Dopiero gdy dostałam dwóję z plusem, zrozumiałam wyższą logikę języka pani Elwiry, mocno żałując swej wcześniejszej nieufności do jej erudycji.

W lekcjach pani Elwiry zawsze tkwiło ziarno ostatecznej tajemnicy. Kiedy mawiała: „Przypuśćmy, że sierotka Marysia była sama jak paluszek”, rozumiałam, że w ten sposób pani sygnalizuje współistnienie Marysi i krasnoludków. Bardzo to było podstępne i jednocześnie inteligentne ze strony pani. Pamiętam też, jak nas zapytała o człowieka, który się kulom nie kłaniał. „Przypuśćmy, że... dzieci go znają – mówiła z lisią miną. – Któż to taki?”

– Wujek Roman! – wykrzyknęłam uszczęśliwiona, ale pani Elwira podważyła zasługi wuja w potyczkach z Milicją Obywatelską, stawiając mi ocenę całkowicie niedostateczną.

– Pani ma zawsze pełną rację – przypominała nam, gdy ktoś zgłaszał pretensje do błędu na tablicy. – Pani specjalnie źle pisze, bo sprawdza czujność dzieci.

Kiedyś widzieliśmy, jak tańczyła w swoim wynajętym pokoju u emerytki Graptur. Na piętrze. Tańczyła na golasa, a przy każdym ruchu cienie jej dorodnych piersi podskakiwały jak piłki lekarskie. Ciężko i bez przekonania. Patrzyłam na te cienie z wielkim niesmakiem i postawiłam pani za dorodne melony ocenę całkowicie niedostateczną. Pomijając piersi, trzeba powiedzieć, że pani Elwira była bardzo chuda, co pozwoliło mi sądzić, że piersi, poza podskakiwaniem w tańcu, pełnią dodatkowo funkcję balastu pozwalającego jej stąpać po ziemi. Śmiesznie wyglądałaby pani Elwira goniona wiatrem jak obłok. Krążąca nad naszą szkołą i boiskiem.

Nie domyślałam się wówczas, że stoję tuż przed epokowym odkryciem prawa grawitacji. I nie wiedziałam, że ktoś mnie w tym już dawno wyprzedził. Być może był to wujek Roman.

Jego potężna wiedza z różnych dziedzin i tajemniczy sposób życia skłaniały mnie do podejrzeń, że to właśnie wuj jest autorem najważniejszych naukowych teorii. I to on, nikt inny, pojawił się pamiętnego wieczoru przy furtce pani Graptur, gdy czekaliśmy, aż pani Elwira skończy swój taniec na golasa. Z powodu zaskakującej wizyty wujka nie udało nam się przełożyć sprawdzianu z przyimków. Czymże jednak była ocena, nawet całkowicie niedostateczna, przy satysfakcji, jaką odczuwałam, śledząc z ukrycia wujka trzymającego naręcz floksów. Z kieszeni jego marynarki wystawała butelka wina. Wyglądał jak Lemoniadowy Joe w cywilu, tylko zamiast kolta miał tę butelkę. Floksy rozpoznałam. Należały do mojej mamy. Przynajmniej do południa. W naszym domu wszystko szybko zmieniało właściciela, więc floksy też podlegały temu zwyczajowi.

Schowaliśmy się za krzaki berbersu. Pani na dźwięk dzwonka włożyła zwiewny szlafrok i zbiegła na dół.

– Przyszedłeś jednak, Roman? – zapytała zalotnie. Naszym zdaniem niepotrzebnie, bo wuj stał przed nią jak malowany. Z floksami mamy i gwizdem na ustach.

Gdy zniknął w drzwiach, rozejrzałam się z dumą po twarzach moich koleżanek i kolegów. Pani od polskiego od tej chwili w jakimś bliżej nieokreślonym sensie należała do naszej rodziny, może tylko nie bardzo zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy dotąd nie mieliśmy w rodzinie nauczycielki, a w pełni zasługiwaliśmy na kogoś tak ładnego i mądrego. Poczułam do wuja Romana wdzięczność i podzieliłam się swymi spostrzeżeniami z mamą.

– Głupia jesteś – ostudziła moją radość. – Ta wydra należy do większości rodzin w mieście! Powinna pracować nad polszczyzną, a nie łajdaczyć się z każdym, kto się nawinie.

W ten sposób dowiedziałam się, że wuj wyłącznie nawinął się pani od polskiego, co trochę mnie zmartwiło. W czasie

jego pozaszkolnych stosunków z panią Elwirą, wuj nie przynosił nam prezentów. Raczej zanosił wszystko, co się nadawało do użytku, pani Elwirze. Kiedyś nawet zauważyłam, że miała w szkole chustę mojej mamy. Tę samą, której mama bez powodzenia od kilku dni szukała w szafie. Powiedziałam, żeby nie szukała, i jeszcze to, że pani Elwira wygląda w niej jak baśniowa księżna. Była z tego powodu wielka granda. Wuj nawet obiecał, że się wyprowadzi, ale następnego dnia kupił mamie nową chustę. Dużo brzydszą. Po tę nową zgłosiła się tydzień później pani Jarmołowska i powiedziała, że jeśli jeszcze raz coś zginie z jej linki z praniem, to wyśle nas wszystkich do kryminału.

Myślałam, że będziemy grać w jakimś kryminale, bo pani Jarmołowska miała brata, który pracował w telewizji. Wprawdzie w biurze, ale wszyscy wiedzieli, że pani Jarmołowska ma w telewizji układy. Mama płakała, przepraszała i uspokoiła się dopiero wieczorem, gdy sobie uświadomiła, że Jarmołowska, choć taka elegantka, chustę ma dużo brzydszą od tej, co ją teraz nosi pani Elwira.

Wuj Roman wciąż budził mój podziw. Nucił coś pod nosem, a awantury nazywał „babskimi głupstwami” i montował rurki w celu nocnego uruchomienia swojej fabryczki szczęścia.

Rosłam za dyktą, ciekawa świata pachnącego inaczej niż moje swetry robione przez babkę Bronię. I wyglądającego inaczej niż nasz pokój, gdzie mama i tata gromadzili wszystkie niepotrzebne i brzydkie rzeczy, dla których potem montowali na ścianach prowizoryczne półki.

– Moja mama mówi, że u was jest jak na bazarze – powiedziała kiedyś moja koleżanka, Rytka Poronin.

– A jak jest na bazarze? – zapytałam z pałającymi oczami. Słowo „bazar” kojarzyło mi się z dużym miastem.

– Czy ja wiem? – zamyśliła się Rytka. – Chyba trochę śmierdzi, nie?

Babka Bronia

Babka Bronia była mamą mojej mamy i wuja Romana. Twierdziła, że kiedyś pracowała w teatrze. Siedziała w budce suflera i podpowiadała aktorom. Ale kiedy straciła przednie zęby w wypadku z granatem, który wybuchł na scenie, nikt nie mógł zrozumieć, co mówi. Aktorzy, zdaniem babki – kupa beztalencia, sprzeciwili się jej siedzeniu w budce. Usunięcie babki nie było ponoć łatwe, bo babka, choć bezzębna, utrzymywała wtedy bardzo ważne stosunki z dyrektorem. Poza zębami niczego jej nie brakowało. Wreszcie dyrektor przeniósł babkę z budki do szatni, gdzie nie musiała mówić.

Mama zdradziła, że wielu widzów brało babkę za aktorkę, taka była ładna. Gdy ją o to pytano, milczała, ale wybranym dżentelmenom – po krótkim namyśle – składała autograf na odwrocie biletu. Panowie patrzyli zachwyceni na zawijasy babki i delikatnie dotykali rond kapeluszy, zanim je zamienili na numerek. Nie lubiła tej pracy, ale do dziś chętnie o niej opowiada, rozpoczynając zdaniem: „Pamiętam, jak któregoś razu u nas, w teatrze...”. Babka znała na pamięć całego Szekspira. Kiedyś myślałam, że Szekspir to jakiś poemat. Potem się okazało, że jednak nie. I że babka nie zna całego Szekspira, lecz zaledwie dwa akty z *Romea i Julii*. To właśnie w szatni, w latach, gdy ludzie zaczęli chodzić do kina, nauczyła się robić na drutach. Uważała, że żadna praca nie hańbi. Zdaniem taty, wuj Roman również wyznawał ten pogląd, choć oficjalnie nie był

na „państwowej posadzie”, bo twierdził, że porządna robota nie wymaga biurokracji. Wuj znał same ładne słowa. Poza przekleństwami, oczywiście.

Państwowa posada kojarzyła mi się z pracą w ministerstwie. Zapytałam któregoś dnia, dlaczego wuj nie chce być ministrem. A tata śmiał się wtedy głośno, mówiąc, że wuj może zostać tylko ministrem sprawiedliwości, bo najlepiej zna się na paragrafach.

Babka nie mieszkała z nami. Do jej pokoju i małej kuchni prowadziło osobne wejście, tuż obok naszych drzwi. Nigdy nie lubiła starej kamienicy, z której większość rodzin pracowała w pobliskim tartaku.

„Doczekałam, że żyję wśród swołoczy” – kwękała, plując na widok sąsiadów.

Babkę Bronię omijano z daleka. Chyba ze względu na to plucie. No i tak staro wyglądała, że nikomu nie wypadało się z nią kłócić, choć babka uwielbiała to robić. Jedynie tata czasami odważał się trochę z nią podroczyć, ale babka narzekała, że to nie to samo, co z obcymi.

Ja lubiłam i babkę, i sąsiadzką swołocz, wuja Romana, i nawet wszystkie zwierzęta, jakie na krótko stawały się naszymi lokatorami. Zwierzęta jakoś nigdy nie mogły się do nas przyzwyczaić. Mama nie miała czasu się nimi zajmować. Poza tym te, które szukały u nas schronienia, były zawsze z jakiejś negatywnej selekcji. Wyjątkowo brzydkie. A jak się odjadły i zaczynały przypominać normalne psy albo koty, natychmiast przenosiły się do sąsiadów.

Było mi przykro, gdy kiedyś pani Barenko, nowa właścicielka naszego kota Feliksa, mówiła do pani Podsiadło, prowadzącej na smyczy naszego Pikusia, że u nas to nawet zwierzęta nie wytrzymują. I że Feliks, jak trafił do pani Barenko, to cuchnął wódką i starą słoniną. Pani Podsiadło też wyznała pani Baren-

ko, że Pikusiem miały jakieś drgawki związane z podnieceniem ruchowym. Jakby miał delirium. I weterynarz nie mógł się nadziwić, że psy mogą mieć delirium. A to przecież stary i dobry weterynarz, ten sam, który uratował życie panu Podsiadło.

Pomyślałam wtedy, że to jednak niesprawiedliwe. Zarówno Feliks, jak i Pikuś trafiły do nas ze śmietnika. I my pierwsi uratowaliśmy im życie niczym ów weterynarz panu Podsiadło. Dlaczego więc nasze sąsiadki nie znalazły w sobie odrobiny sprawiedliwości, aby powiedzieć: „Dobrzy ludzie, ci Pietkiewicz”. Westchnęłam ciężko, bo pisano o nas na płotach ogródków działkowych i mama zawsze przejmowała się tą literaturą. Napisy zdradzały talent literacki i rękę rudego Zbycho, syna woźnego naszej szkoły. Na szczęście Zbycho wypisywał świństwa kredą i tylko do pierwszego deszczu dzielnica mogła cieszyć oko jego zdaniem na nasz temat. Ja zapamiętałam napisy: „Pietkiewicz do domu!” i „Oprychy”. Mój brat widział coś znacznie gorszego, ale już po deszczu, więc zostało: „ewicze asy i uje”. Wcale nie brzmiało to źle. Jak tajemniczy język, którym można było się posługiwać w podwórkowych zabawach.

Zapytałam babkę Bronię, do jakiego domu nas wysłał Zbycho. A babka, że na Litwę, bo dla tych niewykształconych padlin Wilno jest ruskie. Jak, nie przymierzając, pierogi.

Babka nie lubiła zwierząt. Uważała, że znoszą najgorsze choroby. Bała się wszelkich insektów. Niepotrzebnie. W trzcinyowych matach, które zastępowały nam dywany, przez cały rok dojrzewały pchły. Wskakiwały na łydki domowników i zostawiały czerwone bąble, swędzące ślady swoich wizyt. Poza tymi bąblami nic się nie działo. Żadna choroba nie powaliła nas z nóg.

Lubiłam, jak w czasie pchlich wylęgów przychodzili do nas goście. Szczególnie państwo Parysiakowie, bo byli zawsze starannie ubrani. Siedzieli przy samogonce i białej kielbasie. Oma-

wiali z mamą i tatą różne interesy. Mówili o planach na przyszłość, że jak się im poszczęści, to wyjadą do Ameryki, a kiosk zostawią rodzicom. Znaczą się nam. W czasie ich wizyty siedziałam przy piecu i nie spuszczałam oczu z rąk naszych gości. Co chwila czerwona wielka łapa pana Parysiaka zanurzała się w nogawce jego spodni. Drapał się po nogach z taką siłą, aż na jego czoło wstępował kroplisty pot. Pocierała palcami swą kształtną łydkę również pani Parysiakowa, nieświadomie ciągnąc oczka w białych pończoszkach. A nasze pchły szalały. Na nogach pani Parysiak aż się od nich roilo. W tamtych czasach brat nabrał dla Parysiaków szacunku. Powiedział, że mają „dobrą krew”. I tak to ładnie, szlachecko zabrzmiało.

Nasze maty, gdy mama odkrywała w nich roje intruzów, trafiały na płot. Mówiliśmy wszystkim, że robimy wiosenne porządki, ale to nie była prawda. Zaczynała się wielka dezynsekcja i w mieszkaniu czuć było coś znacznie mocniejszego od samogonu. My z bratem nazywaliśmy te wonie „pralnią chemiczną”. Babka Bronia „szczurzymi perfumami”, a wuj Roman niczego nie czuł, bo kiedyś na statku, którym chciał uciec do Szwecji, uderzono go w nos i od tej pory jego wielki czerwony kinol nie wciągał w siebie żadnych zapachów. Nawet tych ulubionych, alkoholowych.

Babka pogardzała samogonem. Jej drugi mąż, ojciec mamy i wuja, pracował na poczcie i nigdy nie skaził ust bimbrem. Wiem o tym od babki. Mówiła o dziadku z wielką dumą. Wstydziałam się, jak szła we wspomnieniach zbyt daleko i z rozrzewnieniem opowiadała o dyrektorze teatru, że musiał czekać siedem lat na śmierć dziadka, bo ona by nigdy nie zdradziła męża. Z czasem sama zaczęła się niepokoić żywotnością dziadka. Bo dziadek beczynnie leżał, czekając na śmierć, a babce uciekały najlepsze lata. Długo nic nie wskazywało, że „odda

ducha, komu należy”. Tak jakoś czerstwo i zdrowo wyglądał pod pierzyną. „Na szczęście twój dziadek wreszcie zebrał się w sobie i umarł – ciągnęła ulubioną opowieść babka. – Nie mogę powiedzieć – wzdychała – to był zawsze elegancki mężczyzna i wiedział, jak się zachować. Przedwojenny poczmistrz” – mówiła nie bez dumy, a druty migwały w jej rękach jak srebrne szabelki. Podziw babki mógł oznaczać jedno: że przedwojenny poczmistrz przewyższał poczmistrza powojennego. Było mi bardzo przykro, gdy kiedyś się dowiedziałam, że wojna zabrała wszystkich poczmistrzów. Co do jednego. Od tego dnia uważałam, że w naszym mieście powinien stać pomnik nieznanego poczmistrza zamiast Nieznanego Żołnierza. Nieznanych żołnierzy bowiem wciąż było bez liku. Żywych i martwych.

Babka, choć mogła po śmierci dziadka poczmistrza od razu przeprowadzić się do dyrektorskiej garsoniery, nie zrobiła tego. „Trzeba się szanować – mówiła na zakończenie swych wspomnień. – My, Pietkiewicz, jesteście honorni i ty też taka musisz być”. Kierowała palec w miejsce, w którym rosły moje małe piersi. Łapałam się za nie, przerażona nowym rodzinnym obowiązkiem. Nie bardzo wiedziałam, jak być „honorną”, ale czułam, że w odpowiedniej sytuacji potrafię sprostać temu genetycznemu zadaniu.

Nad łóżkiem babki wisiał obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Nie mogłam zapamiętać tej długiej nazwy. Babka chyba też nie, bo zazwyczaj zwracała się do obrazka słowami „moja Przenajświętsza Panienko”. Przez długi czas myślałam, że to jeszcze jedna nieżyjąca córka babki, bo tych nieżyjących babka miała znacznie więcej niż żywych. Ale panienka z obrazka była ładniejsza od moich ciotek i zupełnie nie pasowała do rodziny.

Właściwie niewiele więcej mogę o babce opowiedzieć. Mama i tata byli dla niej bardzo mili, jak przyjeżdżał na rowe-

rze nasz listonosz, pan Zygmunt Breś. Z rentą. Taka podróbka przedwojennego poczmistrza. Tego dnia mama starała się ugotować babce rosół z prawdziwej kury. Z domowym makaronem, a tata przynosił jej Wiśniowe, takie wino w butelce z żółtą wiśnią. Dziwiłam się, że są żółte wiśnie. A jeszcze bardziej byłam zdumiona, że wino z żółtych wiśni jest czerwone.

– Oj, ty głuptas! – babka się śmiała, wypijając duszkiem pełną szklankę cierpkiego płynu. – Kolor nieważny. Toż to wino, nie samochód! A dojedziesz na nim i do samego Wilna. Tyle że we śnie – mamrotała, szukając urzędowej koperty. Potem oddawała ją tacie, a ja zostawałam u babki, słuchając jej zegara z kurantem i głośnego chrapania. Tak chrapała, jakby była zepsutym samochodem, który toczy się nierówną drogą w stronę jakiegoś tajemniczego Wilna.

Kasztan

Był przez długi czas największym drzewem, jakie widziałam. Do tego stopnia dużym i dorodnym, że nie mogłam uwierzyć, jak to możliwe, aby właśnie na moim podwórku, ogołoconym ze wszystkiego, co ładne, Pan Bóg (bo któż by inny) zostawił kasztan. Żeby sobie dalej rósł i zasłaniał zielonym parawanem chylące się do ziemi komórki, stary kurnik i nasz gołębnik.

Rósł nieopodal podwórkowego płotu wyznaczającego umowną granicę między naszym miastem a polem i przylegającymi do niego łąkami. Byli i tacy, którzy próbowali mi wmawiać, że mieszkamy na łąkach, co, oczywiście, zbywałam pogardliwym milczeniem. Mieszkaliśmy obok i każdy z nas wybierał sobie punkt orientacyjny, sugerujący obok czego. Tata

mawiał, że obok śródmieścia, bo lubił to słowo. Mama, że obok magła, bo istotnie magiel znajdował się centralnie nad nami. Konkretnie – u pani Bałuszkowej, na pierwszym piętrze. Mój brat twierdził, że mieszkamy obok starej rzeźni. Widzieliśmy ją z okna, jak codziennie robi się mniejsza, bo wielu amatorów ponemieckiej cegły przychodziło tu na szaber. Z kolei babka Bronia upierała się, że mieszkamy obok swołoczy, i nikt tego nie komentował. Ja mieszkałam obok kasztana. Dlatego mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że choć wszyscy gnieździliśmy się w ciasnych pokojach starej kamienicy, każdy z nas był uchwytny jakby pod innym adresem i żył w swoim własnym miejscu.

Pod kasztanem ktoś postawił małą ławkę zbitą z dwóch grubych desek. Ławka nadawała się do większości zabaw, zamieniana na chwilę w sklep, samochód lub małą restaurację dla lalek. Nie mogła być tylko huśtawką, dlatego tata powiesił dwa grube sznury na konarze kasztana i umocował na nich niewielką deseczkę. Deseczka, oczywiście, spadała, gdyż żaden był z taty rzemieślnik, ale z czasem nauczyłam się wspinać po linie i siadać na grubej gałęzi drzewa. Roztaczał się stąd widok na wszystko, co mogło mnie interesować. Na okna pobliskiego domu Rytki Poronin i na aleję dębów, prowadzącą do starego tartaku. Na warsztat samochodowy z napisem „Małachowscy”, gdzie wuj Roman robił swe tajemnicze interesy, i na gołębnik, który, choć zaniedbany, wciąż był hotelem i jadłodajnią dla skrzydlatych tłumów. Widziałam także murek niedoli. Kawałek skruszonej ściany po stróżówce, przy której codziennie zatrzymywali się wracający z tartaku robotnicy. Niemal jednocześnie stawali przy murku niedoli tyłem i, pośród głośnych męskich rozmów, wylewali pienistą strugą nadmiar piwa, wcześniej spożytego w barze Mój Smak. Gdy ruszali w dalszą drogę, nie

przystając gestykulować i kląć, zegnały ich smutne mokre polacie zmurszałego tynku, lśniące w słońcu jak ceglane lusterka.

Na sąsiednie podwórko spoglądałam z ponurą zazdrością. Dziewczynki od Kowalskich, Jurków i Derbów bawiły się tam wyśmienicie i głośno. Nigdy nie zauważyły, że mnie wśród nich nie ma. Ja zauważałam to zawsze. Może lepiej widziałam, siedząc na gałęzi? W dodatku urządziły prawdziwszą od mojej restaurację dla lalek. Taką z niby-kuchnią zastawioną maleńkimi filiżankami i błyszczącymi garnuszkami z opalizującego niklu. Miały też całe zastępy niezwykle grzecznych lał, serwis wózków i podręczny sklepik z gałgankami. Lalki były, ku mojemu zmartwieniu, takie z prawdziwego zdarzenia, a nie pocerowane jak moja, uszyta przez babkę Bronię z kawałków lnianej zasłony w maki.

Całą pociechą była myśl, że na tym, zdawałoby się, bardzo bogatym i czystym podwórku, nie ma kasztana. Gdy padał deszcz, dziewczynki pośpiesznie zbierały swe zastawy i plastikowe strojnisie, przenosząc się z całym kramem do klatki schodowej. A ja siedziałam dalej pod zielonym parasolem liści i słyszałam, jak w letnim deszczu dojrzewają kasztanowe owoce. Na wyścigi. Jakby chciały szybko osiągnąć pełnoletność i jak najprędzej dać nura na ziemię. W tym pośpiechu trochę przypominały moje rodzeństwo. Oni też jakoś tak szybko rośli i poważnieli, każdego dnia zbliżając się do własnej podróży w dorosłość. Tylko ja siedziałam na drzewie bez marzeń o uciekaniu.

Dobrze mi tam było i bezpiecznie. Majtałam nogami, ciesząc się, że nie muszę stąpać po twardej ziemi pełnej potłuczonego szkła i ostrych kamyków. Gdyby mnie wówczas zapytano, czego najbardziej, ale to najbardziej pragnę, odpowiedziałabym pewnie, że chciałabym zostać na zawsze właśnie taka. W sam raz na wędrowniki po ulubionym drzewie, pasująca do

moich wygodnych tenisówek i rozpostarta na gałęzi jak wielki kasztan, który nie musi opuszczać swego liściastego cienia. No, chyba że kasztan nagle poczuje głód. Wówczas może ześlizgnąć się po wysuszonej korze i szybkoitko zjeść cytrynowy kisiel podprawiany mąką albo chleb posypany kryształkami cukru. Niczego więcej nie potrzebowałam i z tego powodu byłam nieświadomie najszcześliwszą dziewczynką, jaka urodziła się między miastem a łąkami.

Każdej jesieni nasze podwórko zapełniało się poszukiwaczami kasztanowych owoców, ale nikt mi nie dorównywał w tych wrześnieowych zbiorach. Potrafiłam znaleźć kasztany z zamkniętymi oczami, wyczuwając ich zapach na odległość. Teraz wstydzę się tej niezwyklej umiejętności ze względu na nasuwające się skojarzenie ze świńskim ryjem wężącym trufle. Ale w tamtych kasztanowych czasach moje zdolności były powodem do wielkiej rodzinnej dumy.

– Może ona ma węż i na pieniądze? – marzył głośno tatuś, gdy przyznałam się do swego talentu.

– Trzeba by iść z nią do banku i sprawdzić. – Mama była raczej sceptyczna, ale jej wiara w cuda, a także dowód rzeczowy w postaci kilogramów znajdowanych przeze mnie kasztanów, robiły swoje.

– To nic nie da – wzdychał tatuś. – Pieniądz nie kasztan, pod drzewem nie leży. Nawet jak go wyczuje, to przecież z sejfu nie wyjmie...

– Sejf nie podwórko – zgadzała się mama.

Dzięki rozsądkowi taty nie musiałam krążyć po banku z nosem przy lastrykowej posadzce, ale ilekroć ginęły w domu jakieś grosze, tata lubił mówić: „Idź no, mała, i powąchaj dookoła. Gdzieś tu te dydki leżą i się z nas śmieją”.